

Przegląd amerykański (XX)

Wszyscy o Iraku, konserwatyści o (nie)swojej Ameryce

Jacek Koronacki

„The National Interest” przeciw neokonserwatywnej wizji polityki USA

Ostatni numer kwartalnika (nr 78, zima 2004/05) przynosi artykuł, który można uznać za programową enuncjację redakcji. Artykuł napisany został przez Roberta Ellswortha, członka władz Centrum im. Nixona, które jest organizacją wydającą „The National Interest”, i Dimitri Simesa, czyli jednego z dwóch „fizycznych” wydawców czasopisma. Celem publikacji jest ocena aktualnej amerykańskiej polityki zagranicznej i zarysowanie jej pożądanego kierunku w przyszłości. Część wprowadzająca eseju kończy się stwierdzeniem:

[...] Neokonserwatywna wizja prowadzenia amerykańskiej polityki zagranicznej jest bardzo ryzykowna. Dalsze postępowanie wedle recept podsuwanych przez neokonserwatywną frakcję Partii Republikańskiej może zniszczyć spuściznę Prezydenta Busha, zagrozić fiskalnej stabilności państwa i zmniejszyć amerykańską zdolność wypełniania roli światowego przywódcy.

Autorzy trafnie dostrzegli, że Bush junior użył podczas swej pierwszej konferencji prasowej po niedawnym triumfie wyborczym aż trzech różnych terminów, gdy mówił o demokratyzacyjnych planach swojej administracji. W jego wypowiedzi można było usłyszeć o *zachęcaniu do wolności i demokracji*, o *promowaniu wolnych społeczeństw*, i o *szerzeniu wolności i demokracji*. Nie trzeba być politologiem z Centrum Nixona czy z „The National Interest”, by zauważyć, iż każde z tych trzech określeń może oznaczać coś innego. Zachęcanie, za którym są autorzy artykułu, jest pojęciem bliskim „promowaniu”, choć to drugie jest już nieco niejasne i jego urzeczywistnienie może być bardziej kosztowne niż pierwsze. „Promowanie” nie musi jeszcze oznaczać odwołania się do rozwiązań siłowych, ale może. Zaś „szerzenie” doskonale już w sobie zawiera możliwość użycia siły, przymusu i narzucenia zmiany reżimu, tak jak doświadczył tego Irak. Ci, którzy *podejrzewają, iż mogą stać się ofiarami takiego potraktowania, raczej nie przyjmą za dobrą monetę amerykańskiej wyższości moralnej, poczują się natomiast zagrożeni i trudno będzie oczekiwać od takich krajów współpracy na innych istotnych dla USA polach, jak wojna z terroryzmem i zgoda na zakaz rozprzestrzeniania broni nuklearnej*. Nietrudno przewidzieć, że takie kraje mogą zechcieć wznowić lub rozbudować swoje nuklearne programy zbrojeniowe, traktując broń masowego rażenia jako jedyny środek zdolny odstraszyć Stany Zjednoczone. Taka była ostatnio dynamika wydarzeń w Iranie i Korei Północnej. W ten sposób, szerząc demokrację, zwiększa się zagrożenie terroryzmem z bronią nuklearną, ponieważ niełatwo będzie kontrolować sposób rozprzestrzeniania tej broni choćby przez dwa właśnie wymienione kraje.

Ellsworth i Simes, zgadzając się, że siłowe usunięcie Husajna było rozwiązaniem dającym się obronić, jednocześnie nie mają wątpliwości:

Stany Zjednoczone mogły uwolnić Irak od Sadama i jego najbliższych współpracowników bez przewracania całego kraju do góry nogami.

Autorzy wskazują, że można było oprzeć się na mniej skompromitowanych członkach administracji Husajna, zwłaszcza na dowództwie wojskowym, i namówić ich do udziału w nowych władzach, w których składzie znaleźliby się także Irakijczycy wracający z wygnania (tacy jak premier Ijad Allawi). Sąsiedzi Iraku, przecież wcale nie przyjaciele Husajna, powinni byli zostać przekonani, że inwazja na Irak nie zagraża ich interesom i że Ameryka nie ma wobec nich żadnych agresywnych planów. Nonsensem natomiast było likwidowanie całej infrastruktury politycznej – armii oraz opanowanej przez partię Baath administracji – bez żadnego pomysłu na ich zastąpienie czymkolwiek i, jakby tego było mało, *dumne ogłoszenie, że wyzwolenie Iraku jest tylko początkiem wielkiej demokratycznej transformacji całego Bliskiego Wschodu. Potrzeba było wyjątkowej naiwności i, mówiąc szczerze, nieznanym sytuacji w Iraku i na Bliskim Wschodzie, by uwierzyć, że taki nadmiernie ambitny plan może się ziścić – zwłaszcza, że chciano go zrealizować bez żadnych widocznych starań o doprowadzenie do normalizacji stosunków arabsko-izraelskich, za to występując z pozycji jedyne go mecenasa rządu Szarona.*

Problemem, uważają Ellsworth i Simes, nie jest też sama idea wojny uprzedzającej, ale to, co z nią zrobiono w kontekście Iraku i Bliskiego Wschodu. Konsekwencją neokonserwatywnej drogi, którą Ameryka poszła, jest uznanie przez cały świat, że jedyne dziś supermocarstwo jest skłonne do działań „uprzedzających” wedle własnego widzimisie, a nie w odpowiedzi na dające się zrozumieć – choćby jeszcze tylko potencjalne, ale rzeczywiste -- zagrożenie bezpieczeństwa USA.

Autorzy omawianego artykułu programowego opowiadają się za politycznym realizmem, który dziś powinien ich zdaniem implikować pięć zasad organizujących politykę zagraniczną prezydenta Busha. Streszczając te zasady, można je skondensować do następujących: zasadą najważniejszą powinno być skupienie się na wojnie z terroryzmem (są i inne cele uprawiania polityki zagranicznej, o których zapominać nie wolno, ale żaden nie może być osiągnięty kosztem celu najważniejszego); Ameryka musi zrezygnować z agresywnego unilateralizmu oraz odzyskać pozycję światowego przywódcy, nie ustającego w budowie międzynarodowego poparcia dla działań w jej interesie, i odwołującego się do argumentu siłowego w ostateczności, a zatem wtedy tylko, gdy w sposób ewidentny zagrożone są żywotne interesy kraju (przykładem może być problem zbrojeń nuklearnych Iranu i Korei Północnej i tu postulat wciągnięcia krajów tym zaniepokojonych do wspólnego działania przeciw rodzącemu się zagrożeniu); Stany Zjednoczone nie powinny okazywać wahania, gdy chodzi o realizację i ochronę własnego interesu, ale też nie mogą zachowywać się arogancko wobec reszty świata (w której to arogancji wyspecjalizowali się neokonserwatyści); Ameryka musi porzucić złudzenie, że wszystkie narody i kultury wyznają te same wartości, i powinna uwzględnić oczekiwania, także polityczne, innych (w tym kontekście autorzy wspominają o konieczności takiego spojrzenia na konflikt arabsko-izraelski, które

uwzględniałoby oczekiwania Palestyńczyków, oczywiście w stopniu nie zagrażającym bezpieczeństwu Izraela).

„The National Interest” poprzedził przedstawienie swojego stanowiska w kwestii neokonserwatywnej wizji polityki zagranicznej USA zamieszczeniem w numerze 76 z lata 2004 aż 14 krótkich artykułów poświęconych szczegółowej ocenie sytuacji w Iraku. Artykuły składające się na to swego rodzaju minisympozjum pisane były zatem dość dawno temu, bo wiosną zeszłego roku, ale warto o nich krótko wspomnieć. Niemało można w nich przeczytać o amerykańskiej nieudolności, i to nawet wtedy, gdy chodziło o realizację dobrych inicjatyw. James Schlesinger, dziś drugi z dwóch wydawców kwartalnika, a kiedyś sekretarz obrony oraz dyrektor CIA, pisze o stosowanych przez Administrację rutynowych procedurach, opóźniających przyjęcie programów pomocy Irakowi. Przyznana pomoc w wysokości 18,4 miliarda dolarów, zresztą zdaniem Schlesingera zbyt mała, przez całe miesiące praktycznie nie została uruchomiona. Kongres nie pomyślał o konieczności zastąpienia zwykłych procedur zgłaszania projektów działań pomocowych oraz ich oceny procedurami nadzwyczajnymi, czyli znacznie skróconymi (pierwsza z tych procedur wymaga 60 dni od chwili otwarcia konkursu projektów, druga 60 dni od chwili zamknięcia konkursu). A przecież w kraju sparaliżowanym amerykańską inwazją – zniszczeniami i bezrobociem – każdy dzień tylko pogarszał sytuację oswobodzicieli-najeźdźców, nie wspominając o Irakijczykach. Nie przemyślano i w rezultacie nie zorganizowano dość szybko akcji szkolenia sił bezpieczeństwa i ochrony porządku w Iraku (pisze o tym również inny autor). Współpraca między tymczasowymi władzami okupacyjnymi, które nie miały bezpośredniej styczności z iracką ludnością, a dowództwem amerykańskich oddziałów, dobrze zorientowanym w potrzebach lokalnych społeczności, pozostawiała wiele do życzenia. Telewizyjny program amerykański dla Irakijczyków nie umiał dotrzeć do adresatów swoich programów. Powstałą lukę wypełniły oczywiście telewizje Al-Dżazira i Al-Arabia. *Nota bene* ta pierwsza była najprawdopodobniej informowana zawczasu o wszystkich planowanych demonstracjach i zamieszkach antyamerykańskich – inaczej nie mogłaby przedstawić relacji z tyłu z nich (chyba, że sama stacja te demonstracje organizowała opłacając demonstrantów, co zważywszy panujące bezrobocie nie byłoby zabiegiem zbyt kosztownym).

Specjalista w dziedzinie polityki energetycznej i rynku paliw, Edward Morse, opisał jak inwazja na Irak doprowadziła do wzrostu cen ropy. W skrócie, początek kryzysu datuje się na zimę roku 2002, czyli czas słynnego strajku przemysłu wydobywczego ropy w Wenezueli. Za radą wiceprezydenta USA, a wbrew specjalistom, prezydent odmówił wówczas otworzenia rezerw strategicznych i tą drogą zażegnania kryzysu niedoboru paliw na rynku. W sukurs światu miała według wiceprezydenta przyjść Arabia Saudyjska, która to zresztą uczyniła, ale zbyt późno. Ameryka zaś musiała jego zdaniem trzymać swoje rezerwy nienaruszone na wypadek wojny z Irakiem. W konsekwencji ceny na rynku paliw zaczęły piąć się w górę. Potem przyszła wojna, a z nią nie tylko zniszczenia w Iraku, ale także nieudolność amerykańskich administratorów, którzy mówili wprawdzie o uczynieniu z Iraku drugiej Arabii Saudyjskiej, ale – co Morse dokładnie opisuje – nic w tym kierunku nie uczynili. Przeciwnie, oddając kontrolę nad całością przemysłu wydobywczego oraz eksportem ropy irackim specjalistom, nadto zaś

zaniedbując wspomnienie odbudowy zniszczonych obiektów i ochrony istniejących, nie tylko opóźnili osiągnięcie przez Irak poziomu produkcji sprzed wojny, ale zmarnowali szansę na konieczną i dogłębną restrukturalizację irackiego sektora energetycznego.

Kolejny uczestnik minisymposium, szeroko już w tym odcinku cytowany Dimitri Simes, zwraca uwagę, że postulat zmiany reżimu Sadama Husajna na inny stał się oficjalnym stanowiskiem Waszyngtonu już w roku 1998. Jego zdaniem, po zamachu terrorystycznym z 11 września 2001 trudno było oczekiwać, że uda się do takiej zmiany doprowadzić inaczej niż przez obalenie reżimu siłą. Jest przeto gotów uznać, że w jakimś sensie atak na Irak był nieunikniony. Ale nie potrafi pojąć jak mogła administracja prezydenta Busha próbować potraktować ów atak jako trampolinę do rozwiązania problemów całości Bliskiego Wschodu. *Niektórzy członkowie administracji – pisze Simes -- posunęli się tak daleko w swych sennych marzeniach, że za dobrą monetę wzięli obietnice oczywistego szarlatana, jakim jest Ahmed Chalabi, który przyrzekł nie tylko doprowadzić do normalizacji stosunków z Izraelem, ale także zbudować rurociąg, doprowadzający ropę do tamtego państwa. Rojenia o rurze niosącej ropę nie są receptą na uprawianie poważnej polityki.* Ci sami rzecznicy transformacji całego Bliskiego Wschodu żyli też innymi fantazjami, i nie przeszkadzało im, że są to fantazje wewnętrznie sprzeczne. Głosili, że Arabowie są otwarci na demokrację i jednocześnie, że najlepiej ją wprowadzić siłą, ponieważ nic tak do Arabów nie przemawia jak siła właśnie. *Trudno się dziwić, że zapatrzona w takie fantasmagorie Ameryka ani nie potrafiła przewidzieć, co ją w Iraku czeka, ani jak sobie z Irakiem poradzić.*

Alexis Debat, konsultant stacji telewizyjnej ABC do spraw terroryzmu, analityk z *Institut Montaigne* we Francji i były wysoki urzędnik francuskiego Ministerstwa Obrony, ukazał w dłuższym nieco wywodzie jak zmieniła się sieć powiązań organizacji terrorystycznych na Bliskim Wschodzie. Nie sposób chyba autorytatywnie orzec, czy inwazja na Irak ułatwia dziś eliminację terrorystów, czy terroryzm ma się jej skutkiem lepiej czy gorzej. Debat uważa, że inwazja utrudniła zadanie zachodnich (i innych) sił antyterrorystycznych. Jakby taki ogólny bilans nie wyglądał, jasne jest jednak, że na terenie Iraku musiało dojść do znacznych przegrupowań sił terrorystycznych. Bezpośrednio po zajęciu Iraku przez Amerykanów, terroryści musieli opuścić regiony północne, gdzie wcześniej mieli bazy, ponieważ nie sięgała tam siła Husajna. Wkrótce jednak wrócili, przy czym dołączyli do nich ochotnicy (lub najemnicy) z innych krajów muzułmańskich. Ewidentnie groźnym efektem inwazji jest aktywizacja ekstremistów sunnickich, którzy przetrwali prześladowania ze strony reżimu Husajna, w owym czasie wspomagani pieniędzmi saudyjskimi i cieszący się pewnym poparciem ludności -- zubożałej na skutek działania sankcji ekonomicznych oraz skorumpowania klasy rządzącej, i przez to bardziej podatnej na muzułmański fundamentalizm. Szczególne zagrożenie dla stabilizacji Iraku stwarza też, o czym pisze Debat, zawiązanie się współpracy między dawnymi śmiertelnymi wrogami – sunnickimi ekstremistami i częścią zsekularyzowanych aparatczyków dawnego reżimu, zdolnych dostarczyć mudżahedinom pieniędzy, materiałów wybuchowych i wsparcia logistycznego. Według wywiadu amerykańskiego do fundamentalistów mieli np. dołączyć niektórzy specjaliści z oddziałów kiedyś zwalczających grupy terrorystyczne w Iraku. Porozumienie między podziemiem partii Baath i sunnitami stało się możliwe w imię obrony przed

Amerykanami i zagrożeniem szyickim – wewnętrznym i irańskim. Dodatkową komplikację tego obrazu stwarza to, że Iran mógł w pewnej ograniczonej mierze wspierać samego Abu Musabę al-Zarkawiego, mimo że ten jest sunnitą! Nie ma na to dowodów, ale wiadomo, że Zarkawi był dwa razy przetrzymywany przez siły bezpieczeństwa Iranu, po raz ostatni w marcu 2002 roku. Prawdopodobne jest, pisze Debat, że do Iraku wrócił z błogosławieństwem Iranu, zaopatrzony w środki do walki z Amerykanami.

W publikacjach minisymposium „The National Interest” znalazło się więcej głosów jednoznacznie krytycznych wobec obecnej amerykańskiej polityki bliskowschodniej, ale przytoczę jeszcze tylko jeden, jako szczególnie nieprzejednany w swojej krytyce i zarazem zbliżający się do sedna problemu. Generał William Odom, były dyrektor Agencji Bezpieczeństwa, uważa, że nie jest wcale pewne, iż usunięcie Sadama Husajna służyło interesom USA. Likwidację irackiej broni masowej zagłady słusznie uznał za cel urojony, ponieważ takowej nie znaleziono. Atak na Irak nie miał wiele wspólnego z wojną z terroryzmem, ponieważ Irak nie miał powiązań z Al Kaidą, a jeśli miał z innymi ugrupowaniami terrorystycznymi, to słabe. Paradoksalnie, obalenie Husajna było na rękę bin Ladenowi, walczącemu z zeświecczonymi reżimami w świecie muzułmańskim.

Gorsza od tego wszystkiego jest destabilizacja samego Iraku i Bliskiego Wschodu jako całości, wcześniej – mimo wszystkich kłopotów – pozostającego dzięki USA w stanie jakiejś takiej równowagi. I absurdem było, słusznie pisze Odom, dotykając podstaw politycznej filozofii neokonserwatystów, uznanie zainstalowania w Iraku proamerykańskiego reżimu liberalno-demokratycznego za jeden z celów „krucjaty” USA. Zaiste zadziwiające jest, że można wpaść na pomysł zadekretowania ładu społecznego, w tym przypadku liberalnej demokracji, bez oglądania się na uwarunkowania historyczne i kulturalne. Można oczywiście zadekretować wybory, ale traktować je jako choćby najmniejszy krok ku wspomnianemu porządkowi społecznemu jest dziecinadą (lub przykrywką dla realizacji celów niejawnych – np. honorowego i przemyślanego wycofania się Ameryki z Iraku, czego gen. Odom byłby zwolennikiem).¹

Paru uczestników minisymposium broni tych czy innych aspektów amerykańskiej interwencji na Bliskim Wschodzie. Na przykład, związany z Centrum Nixona David Rivkin przekonująco opisuje zagrożenia, jakie stworzyłoby wycofanie się dziś USA z Iraku. Bliskowschodni komentator CNN, Amir Taheri, wskazuje na obecność prodemokratycznych sympatii w Iraku, ale też obiektywnie wylicza siły wewnętrzne i zewnętrzne (państwa sąsiednie!) aktywnie przeciwstawiające się demokratyzacji okupowanego kraju. Wreszcie członek komitetu redakcyjnego „National Review” – pisma praktycznie dziś kontrolowanego przez neokonserwatystów, w którym wiele można było przeczytać artykułów za inwazją – John Hillen, zgadza się, że popełniono wiele błędów, ale, jak pisze, stara się znaleźć *kurs pośredni* między nieprzejednanymi krytykami interwencjonizmu amerykańskiego w rodzaju Patryka Buchanana i neokonserwatystami. Według niego, i tu stwierdzenie chyba niezbyt mądre, zaletą inwazji było to, że dziś *nieomal każdy obywatel tej Ziemi ma się lepiej w świecie bez Sadama Husajna niż z nim*. Jej zaletą jest także to, że stanowi fragment właściwego, bo holistycznego, podejścia do wojny z terroryzmem. Ta wojna bowiem to *więcej niż zabicie*

tu czy tam terrorysty albo ich grupy. Zdaniem Hillena, jej celem muszą być wszystkie ośrodki, w tym państwa, terroryzm wspomagające. Także demokratyzacja Iraku jest inicjatywą godną poparcia, z tym że plany powinny uwzględniać realia społeczne, kulturalne i polityczne – potrzeba tyle i tylko tyle zabiegów demokratyzacyjnych, ile Irakijczycy są w stanie przełknąć. Myślenie o zaszczepieniu w Iraku kopii demokracji zachodniej jest mrzonką.

Poza materiałami minisymposium, „The National Interest” nr 76 przynosi artykuł Francisa Fukuyamy, polemizującego z tezami Charlesa Krauthammera, zawartymi w kwartalniku półtora roku wcześniej² i rozwiniętymi przez niego w lutym 2004 na wykładzie ku czci Irvinga Kristola w *American Enterprise Institute*. Fukuyama nie widzi większej różnicy między najbardziej zagorzałymi „demokratycznymi globalistami” skłonnyymi szerzyć demokrację wszędzie, byle po kolei, kraj po kraju, poczynając od Iraku i idąc przez cały arabski i muzułmański Bliski Wschód, a Krauthammerem, który mieni się „demokratycznym realistą” i opowiada się za wojną tam tylko, gdzie *istnieje po temu strategiczna konieczność – a to znaczy w miejscach odgrywających zasadniczą rolę w większej wojnie przeciw wrogowi egzystencjalnemu, czyli wrogowi stanowiącemu śmiertelne zagrożenie dla wolności*. Fukuyama nie uważa, by Irak stanowił takie zagrożenie dla USA. Także zagrożenie ze strony grup muzułmańskich ekstremistów trudno uznać za egzystencjalne zagrożenie dla amerykańskiego supermocarstwa, choć oczywiście ekstremiści chcieliby by tak było. Dodaje, że Ameryka nie znajduje się w sytuacji Izraela osaczonego przez islam i wrogie mu państwa i że przeto jej polityka powinna być inna niż Izraela. Ale jeśli tak, to poparcie przez Krauthammera agresywnej polityki USA na Bliskim Wschodzie odbiera mu legitymację realisty.

Krauthammer odpowiedział Fukuyamie w n-rze 77 „The National Interest”, broniąc tezy o świecie radykalnego islamu jako śmiertelnym zagrożeniu dla Ameryki, któremu to zagrożeniu należy się przeciwstawić budując nowy, bezpieczny dla Ameryki ład polityczny na Bliskim Wschodzie. Globalny charakter zagrożenia stwarzanego przez radykalizm arabski lub muzułmański postrzega podobnie, jak w *latach 30-tych i 40-tych* należało widzieć faszyzm (w tym miejscu Krauthammer utożsamia chyba faszyzm i narodowy socjalizm³) i w *drugiej połowie XX wieku* (ciekawe dlaczego nie wcześniej?!) komunizm. Inwazja na Irak była dla Krauthammera uzasadnionym i mądrym, zgodnym z postulatami demokratycznego realizmu atakiem na radykalny islam. Niechętnie wspomina o amerykańskich kłopotach w Iraku, ale te chyba wywarły na nim jakieś wrażenie, skoro już nie wraca z dawną pewnością siebie do peanów na cześć potęgi supermocarstwa i polityki unilateralnej. Krauthammerowska wykładnia realizmu zdaje się plasować go między ostatnio wyrażoną i przywołaną na początku odcinka formułą realizmu kwartalnika „The National Interest” i agresywnym globalizmem neokonserwatystów podobnych Normanowi Podhoretzowi, który na łamach miesięcznika „Commentary” nieodmiennie nawołuje do kontynuowania na Bliskim Wschodzie „IV wojny światowej”, bez prób rozróżnienia między islamem radykalnym i islamem w ogóle (przypomnijmy, że III wojną światową była wedle tej nomenklatury, ukutej przez Eliota Cohena, zimna wojna zakończona rozpadem Związku Sowieckiego).⁴ W najbliższym czasie powinna przyjść kolej na Iran. Problem z Krauthammerem polega na tym, że będąc mniej radykalnym niż Podhoretz można być nadal bardzo daleko od poglądów

opartych na nieuprzedzonej analizie złożonej rzeczywistości, blisko zaś świata wydumanych, za to prostych idei i rzekomych historycznych analogii. I wtedy, ponieważ środowiska radykalnego islamu, komórki terrorystyczne oraz ośrodki wspierające terroryzm pieniędzmi i bronią rozsiane są po całym Bliskim Wschodzie, właściwie logiczny staje się postulat rozprawienia z całym regionem, bo ten jako całość stwarza (rzekomo) owo „śmiertelne zagrożenie”.

Kłótnia w dużej rodzinie?

Przywołana na początku formuła realizmu i tym sposobem swego rodzaju odcięcie się „The National Interest” od wojowniczych neokonserwatystów jest zjawiskiem ciekawym. Zwracałem już nieraz uwagę, że kwartalnik jest w dobrym sensie eklektyczny, ponieważ stara się publikować głosy różnych opcji. Założony został dokładnie 20 lat temu (w roku 1985) przez wybitnego neokonserwatystę, zwanego ojcem chrzestnym tej szkoły politycznego myślenia, Irvinga Kristola. Obok Kristola, ruch neokonserwatywny współtworzył Norman Podhoretz, od początku (i do niedawna) redaktor naczelny miesięcznika „Commentary”. Podhoretz był zawsze rzecznikiem ideologicznych „krucjat”, kiedyś antykomunistycznej, dziś antymuzułmańskiej. Kristol wołał postawę „neorealisticzną” i dlatego właśnie powołał do życia „The National Interest”.⁵ Obecnie, na pewno na skutek nieuniknionych niepowodzeń w Iraku, przed którymi zresztą kwartalnik Kristola przestrzegał używając np. swych łamów prof. Schroederowi⁶, nastąpiła wyraźna polaryzacja stanowisk wewnątrz ruchu neokonserwatywnego.

Stopień tej polaryzacji był zawsze, i najpewniej nadal jest, ściśle kontrolowany. Jednocześnie, o czym już nieraz wspominałem, od końca lat 80-tych, neokonserwatyści skutecznie wypierali ze sceny paleokonserwatystów, zwłaszcza dzięki przejściu źródeł finansowania fundacji konserwatywnych lub opanowaniu samych tych fundacji. Pierwszym redaktorem naczelnym „The National Interest” został Australijczyk, Owen Harries. Przestał nim być w roku 2001, według znawców przedmiotu dlatego, że kwartalnik zbyt gorliwie krytykował idee amerykańskiej hegemonii nad światem i globalnej „krucjaty” demokratycznej. Nieco wcześniej, bo w 1997 roku, posadę redaktora naczelnego kiedyś konserwatywnego „National Review” stracił John O’Sullivan, który przejął dwutygodnik od jego założyciela, Williama Buckleya, w roku 1988. O’Sullivan otrzymał za zadanie pozbyć się osób niechętnych neokonserwatystom, w tym rzekomego antysemitę, Joe Sobrana. Redaktor zadanie wykonał, ale ku zaskoczeniu wszystkich naraził się wpływowym neokonserwatystom publikując w roku 1992 słynny później artykuł Petera Brimelowa przeciw niekontrolowanej imigracji do USA i temat ten kontynuując kolejnymi publikacjami. Jak wspomina ówczesny członek redakcji „National Review”, Scott McConnel⁷, w r. 1995 ważniejsi redaktorzy pism kontrolowanych przez neokonserwatystów otrzymali list protestacyjny Irwina Steltzera z tygodnika „Weekly Standard”, którego autor zawiadamiał, że rezygnuje z prenumeraty „National Review”, ponieważ czasopismo reprezentuje niedopuszczalne stanowisko w sprawie imigracji, niewolne od antysemitizmu, którego ślady można także znaleźć w różnych artykułach ks. Richarda Neuhausa. Według McConnela, Steltzer faktycznie pełnił rolę *ideologicznego żandarma imperium prasowego Ruperta Murdocha*.⁸ Buckley miał początkowo stanąć w obronie O’Sullivana, ale ustąpił po dwóch latach, przekazując

prorowadzenie „National Review” Richowi Lowry’emu (O’Sullivanowi nadał Buckley tytuł *editor-at-large*, co można uznać za funkcję podobną do redaktora honorowego, pozbawionego wpływu na politykę redakcji). Przy okazji z redakcji zniknął Brimelow, zaś – jak to ujął McConnel – neokonserwatyści mogli odetchnąć z ulgą, ponieważ pismo przestało opowiadać się za uprzywilejowaną pozycją w Ameryce rdzennych Amerykanów (dla neokonserwatystów Ameryka nie dlatego jest amerykańska, że ma swoją konkretną historię i swoje korzenie brytyjskie oraz chrześcijańskie, a dlatego, że jest wcieleniem idei i efektem społecznego kontraktu).

Ale ogół neokonserwatystów to grupa dobrze adaptująca się do okoliczności, dobrze też kontrolująca – i wykorzystująca – szczegółowe różnice w poglądach jej członków. Kilka lat temu Owen Harries okazał się być zbyt krytyczny wobec demokratycznego globalizmu. Dziś taki ostry krytycyzm jest potrzebny i jest obecny w „The National Interest”, którego redaktorem naczelnym został parę miesięcy temu ... John O’Sullivan⁹, mając w radzie redakcyjnej między innymi takich neokonserwatywnych ideologów demokratycznego globalizmu jak Eliot Cohen, Charles Krauthammer, Richard Perle i Daniel Pipes, sprzyjającą im neokonserwatystkę Midge Decter¹⁰ i krytycznego wobec nich neokonserwatystę Francisa Fukuyamę.

Konserwatyści o rewolucyjnych trendach w polityce USA

Amerykańskie przywództwo nad światem, obojętne czy realizowane agresywnie w imię demokratycznego globalizmu, czy na modłę rysowaną przez kwartalnik „The National Interest”, nie jest do przyjęcia dla konserwatystów. Nie zwalnia ich to oczywiście od obowiązku opisanie ideowych podstaw tego zwycięskiego dziś trendu w polityce zagranicznej USA.

Jak już pisałem, historyk idei z Katolickiego Uniwersytetu Ameryki, prof. Claes Ryn, widzi w enuncjacjach neokonserwatywnych ideologów demokratycznego globalizmu ewidentny dowód ich neojakobinizmu.¹¹ *Tak jak rewolucyjna Francja, neojakobińska Ameryka widzi się w roli zbawczyni narodów. Cele narodowe i ideologiczne stają się nierozróżnialne. „Nasz nacjonalizm – pisze o amerykańskiej misji w świecie [młodszy] Kristol oraz Brooks – jest nacjonalizmem obywateli narodu wyjątkowego, ufundowanego na uniwersalnej zasadzie, którą Lincoln nazwał prawdą abstrakcyjną, stosującą się do wszystkich ludzi o każdym czasie.”*

Kontynuuje Ryn: *Takie widzenie Ameryki trudno nazwać patriotycznym w klasycznym sensie tego słowa. Neojakobinizmu nie charakteryzuje szacunek dla konkretnej amerykańskiej tożsamości z jej źródłami w cywilizacji greckiej, rzymskiej, chrześcijańskiej, europejskiej i angielskiej. W ostatecznym rozrachunku neojakobini są przywiązani do zasad ahistorycznych i ponadnarodowych, o których myślą, że powinny zastąpić tradycje poszczególnych społeczeństw. Nowi jakobini postrzegają się jako będący po stronie dobra, zwalczający zło i nie mający zamiaru szanować lub szukać porozumienia z krajami, które nie dzielą ich demokratycznych ideałów.*

Ryn słusznie przypomina zmarłego w r. 1992 Allana Blooma, który w swojej słynnej książce „The Closing of the American Mind” pisał: *Gdy my, Amerykanie, poważnie mówimy o polityce, to zawsze mamy na myśli, że nasze zasady wolności i równości oraz zbudowane na nich prawa są racjonalne i wszędzie dające się zastosować.* Pisząc o II wojnie światowej Bloom stwierdzał, że ta była w rzeczywistości *przedsięwzięciem edukacyjnym podjętym w celu zmuszenia tych, którzy się nie zgadzali z owymi zasadami, do ich przyjęcia.* Bloom podzielał uniwersalizm swego wybitnego nauczyciela, Leo Straussa, który wielce przyczynił się do rozpropagowania ahistorycznego i abstrakcyjnego patrzenia na społeczne dobro. Bloom nie bronił w swojej książce historycznie uwarunkowanych, tradycyjnych wartości cywilizacji zachodniej, lecz uniwersalnego ideału oświeceniowego. Obydwaj myśliciele wywarli niekwestionowany i oczywisty wpływ na neokonserwatystów (*nota bene*, uczniem Allana Blooma był Francis Fukuyama oraz jeden z neokonserwatystów w rządzie Busha juniora, Paul Wolfowitz).

Bez względu na to, że Allan Bloom miał niewiele sympatii dla chrześcijaństwa, a wiele dla Oświecenia, był to umysł znakomity, z którego obserwacjami każdy powinien się liczyć. I przecież nurt mesjanistyczny w imperialnej polityce amerykańskiej miał się w USA jak najlepiej od czasów prezydenta Wilsona oraz innych postępowych internacjonalistów amerykańskich. Pisze w „Modern Age” (numer z lata 2004) Richard Bishirjian, członek rady redakcyjnej kwartalnika¹²:

Rewolucja amerykańska nie była rewolucyjna w tym sensie, w jakim były nowoczesne ideologie, które zatrzęsły światem w wieku XX. Ale rewolucyjny był w tym sensie Woodrow Wilson. Postępowi ideologowie jego pokroju pragnęli ziszczenia się w czasie świata przyszłego – świata takiego, który przybliżyłby tradycyjną nadzieję chrześcijaństwa na wieczny pokój w świecie niebiańskim. Ta świecka, immanentystyczna ideologia zachwiała fundamentami reżimu amerykańskiego – zachwiała filozofią rządu ograniczonego i filozofią przyjętej przez Ojców Założycieli Konstytucji Stanów Zjednoczonych – i przekształciła naród amerykański w „Naród-Chrystusa”, Naród-Zbawcę.

Groźbę tego przekształcenia dostrzegł od razu współczesny Wilsonowi Irving Babbit, pisząc między innymi o *humanitarnym pomieszaniu wartości oraz błędach idealizmu.* W 1924 roku pisał: *Szybko przemieniamy się w naród humanitarnych „krzyżowców”.* Z dzisiejszej perspektywy Bishirjian tak pisze o wilsonowskim nowym ładzie światowym:

Nowy ład światowy jest niczym innym, jak tylko religijnie uzasadnianą żądzą, libido dominandi – by użyć terminu Św. Augustyna – ponieważ zasada się na nadziei, że konflikty nierozłącznie związane z istnieniem tego świata można rozwiązać dzięki ludzkiej myśli i działaniu. Marks i Lenin szukali takiego rozwiązania za pomocą rewolucji proletariackiej (pod przywództwem partii komunistycznej), Wilson chciał posłużyć się rewolucyjną demokracją (pod przywództwem Woodrowa Wilsona). [...] Chrześcijańska wiara w transcendentne rozwiązanie konfliktów ziemskich poza czasem została zastąpiona immanentystycznym oczekiwaniem na ich rozwiązanie w czasie i jest to największa oraz najważniejsza przemiana kulturalna w najnowszej historii Ameryki.

Według Bishirjiana przez ducha wilsonowskiego idealizmu przemawia mieszanina socjalistycznej ekonomii, oświeceniowego racjonalizmu i millenaryzmu przeniesionego do Ameryki przez kaznodziei protestanckich. Jest to ideologia czyniąca z Ameryki ojczyznę permanentnej rewolucji, a w konsekwencji kraj rozdarty między *idealizmem pozbawionym rozsądku* oraz *realizmem wyzbytym wszelkich cnót*, realizmem bez mocnych podstaw aksjologicznych. By tak rzec, to w tym rozdarciu mieści się polityka zagraniczna USA. Można by też dodać, że jest Ameryka również krajem łatwo dającym się manipulować politycznym cynikiem, nie wierzącym w żaden wilsonowski idealizm, ale wykorzystującym fakt jego zaszczerpienia niemałej części narodu po to, by budować wymarzone przez nich *imperium mundi*.

Odpowiedzią konserwatystów nie ma być oczywiście obrażenie się na potęgę Ameryki (państwo to zaczęło stawać się potęgą, i to o ambicjach imperialnych, w drugiej połowie XIX wieku, ale wolne było wówczas od świeckiego mesjanizmu), lecz budowa polityki opartej na rzeczywistym interesie narodowym i przede wszystkim na tym co Russell Kirk nazywał „rzeczami permanentnymi”. Tylko czy Ameryka umie jeszcze rozpoznawać te „rzeczy”?¹³

¹ Dalej piszę, gdzie można szukać intelektualnych źródeł tego groźnego przywiązania do utopii. *Nota bene*, „The National Interest”, jak przystało na kwartalnik politycznych realistów, pomieścił w numerze z zimy 2004/05 esej samego Roberta Conquesta, wyjaśniający jak złożonym procesem jest urzeczywistnienie się liberalnej demokracji.

² Por. odcinek XVIII tego przeglądu, ARCANA 1-2/2004.

³ To utożsamienie, jak dawno temu zauważył von Kuehnelt-Leddihn, wespół z zastąpieniem terminu narodowy socjalizm przez nazizm, było od zarania świadomą manipulacją, mającą przesłonić lewicowe źródła obydwu ideologii oraz dodatkowo skompromitować faszyzm.

⁴ Por. artykuły Podhoretza w „Commentary” z września 2004 i lutego 2005.

⁵ Znakomitą syntezę politycznej historii neokonserwatyzmu dał ostatnio wybitny polski historyk idei, prof. Jacek Bartyzel, w artykule „przechodnie ideologie, stały cel -- geopolityka neokonserwatystówamerykańskich”, *Pro Fide Rege et Lege* nr 49, r. 2004 (p. też tego samego autora „Czy są kontrrewolucjoniści w Stanach zjednoczonych. Rzecz o paleokonserwatystach”, *Pro Fide Rege et Lege* nr 50, r. 2004).

⁶ Por. odc. XII tego przeglądu, ARCANA 2/2002, i tam streszczenie artykułu prof. Schroedera.

⁷ Patrz „The American Conservative”, 21 kwietnia 2003.

⁸ Do Murdocha należy m.in. „New York Post”, neokonserwatywny „Weekly Standard”, któremu przewodzi William Kristol (syn Irvinga, doradca prezydenta Busha juniora i jeden z najbardziej nieprzejednanych „globalnych demokratów”), sieć telewizyjna Fox.

⁹ Który to O’Sullivan swoją recenzję ważnej książki Samuela Huntingtona „Who are we? The cultural core of American national identity” opublikował w lipcu 2004 w Patryka Buchanana dwutygodniku „The America Conservative”.

¹⁰ Sensacją zeszłego roku był wybór Midge Decter na ... prezydenta jeszcze do wczoraj konserwatywnego Towarzystwa Filadelfijskiego (por. parę uwag związanych z Towarzystwem w odc. XVII przeglądu, ARCANA 5/2003). W ten sposób na czele 40-letniego Towarzystwa stanęła osoba, która nienawidziła – obojętne, zasadnie czy nie – najważniejszych jego członków. Bez żadnej przesady wypada stwierdzić, że Towarzystwa, takiego jakie znała historia amerykańskiego konserwatyzmu, już nie ma. A żeby przydać wydarzeniu dodatkowego smaczku, nowa pani prezydent oświadczyła w adresie inauguracyjnym, że od

około 30 lat nie są – ani ona, ani jej mąż, Norman Podhoretz, ani jej syn John Podhoretz – neokonserwatystami (taki cytat z jej adresu zamieścił w „Chronicles” Sam Francis, i wierzę mu, choć z treścią cytatu nie sposób się zgodzić).

¹¹ Por. tego autora „America the Virtuous: The Crisis of Democracy and the Quest for Empire”, Transaction Books, 2003 (adaptacja jednego rozdziału tej książki ukazała się w w numerze z lata 2003 kwartalnika „Orbis”); jak kiedyś sygnalizowałem, krótki artykuł na ten temat ukazał się też na łamach „The American Conservative” z 19 stycznia 2004.

¹² Artykuł poprzedzony został obszernym wstępem redaktora naczelnego „Modern Age”, George’a Panichasa, nadając mu charakter wypowiedzi środowiska skupionego wokół kwartalnika

¹³ 150 lat temu, przed utratą tej zdolności przestrzegał amerykańskie elity Orestes Brownson. Dziś, jak to w Polsce wykazują Tomasz Gabiś i prof. Bartyzel, niektórzy neokonserwatyści ulegają fascynacji neopogańskim faszyzmem (por. J. Bartyzel, dz. cyt.). I jeszcze na marginesie neokonserwatywnych fascynacji: wiadomo, że – za Leo Straussem, przy czym Francis Fukuyama jest tu pierwszym przykładem – na neokonserwatystów wywarł wpływ Alexandre Kojève; niezwykle ciekawy materiał na temat Kojève’a opublikował ostatnio prof. Zdzisław Krasnodębski w dodatku „Europa” (15/05, 19 stycznia 2005, <http://efakt.pl/artykuly/arttykul.aspx/Artykul/48088>).